



• 1 •

*Althea Proserpine wychowuje córkę na bajkach. Dawno, dawno temu była dziewczyną, która nazywała się Anna Parks, jedną z legionu marzycielek, które w połowie wieku przyjechały na Manhattan z potykanymi w walizkach marzeniami. Następnie zniknęła. Potem powróciła i zyskała dziwną sławę, połyskującą pod pewnymi kątami, ale ciemną, gdy się na nią patrzyło pod innymi. Teraz znowu jej nie ma. Wyjechała do domu z wieżą, gdzie mieszka z córką i mężem, prawdziwym członkiem rodziny królewskiej – po prostu trudno jej się wyrzec bajek. Gdy z nią rozmawiam przez telefon, głos ma tak kuszący jak jej najsłynniejsze zdjęcie, to z pierścieniem i papierosem. Pytam, czy mogę z nią porozmawiać osobiście, a jej śmiech jest niczym ogni-
sta whiskey z lodem. „Zgubisz się, próbując mnie znaleźć” – mówi. „Będziesz potrzebować okruszków albo nici”.*

Królowa Uroczyska, „Vanity Fair”, 1987 r.

Moja matka wychowała się na bajkach, ale ja wychowałam się w drodze. Moje pierwsze wspomnienia to zapach rozgrzanego chodnika i widok nieba przez szyberdach, przesuającego się jak niebieska rzeka. Mama mówi, że to niemożliwe, bo w naszym aucie nie ma szyberdachu. Ale kiedy zamykam oczy, nadal to widzę, więc trzymam się tego wspomnienia.

Od czasu, kiedy wsadziłam dziecięcą pomadkę do wylotu ogrzewania, setki razy przemierzyliśmy kraj w naszym zdezelowanym wozie, który czuć frytkami, stęchlą kawą i plastikowymi truskawkami. Zatrzymywałyśmy się w tyłu miejscach, gdzie było tyłu ludzi, że nigdy nie nauczyłam się bać obcych.

Dlatego właśnie gdy miałam sześć lat, wsiadłam do starego niebieskiego buicka z jakimś nieznanym rudzielcem i pozwoliłam się wieźć przez czternaście godzin, z dwiema przerwami na toaletę i jedną na naleśniki, aż zatrzymała nas policja, poinformowana przez kelnerkę, która rozpoznała mnie na podstawie opisu z radia.

Do tego czasu domyśliłam się już, że ten mężczyzna wcale nie jest przyjacielem mojej babki Althei i wcale mnie do niej nie wiezie. Althea zamknęła się już wtedy w swoim wielkim domu i nigdy jej nie poznałam. Nie miała przyjaciół, tylko fanów, i mama wyjaśniła mi, że ten rudzielec był właśnie jej fanem, który chciał mnie wykorzystać, by się z nią spotkać.

Kiedy okazało się, że mnie nie skrzywdził – a mężczyzna okazał się włóczęgą, który ukradł samochód parę mil od miejsca, gdzie zatrzymałyśmy się w Utah – mama zdecydowała się nie mówić więcej o całej sprawie. Nie chciała mnie słuchać, kiedy jej mówiłam, że był miły,

opowiadał mi różne historyjki i śmiał się ciepło, co sprawiło, że zaczęłam wierzyć, że to mój ojciec, który po mnie przyjechał. Mama zobaczyła tego rudzielca przez weneckie lustro na policji i przysięgła, że nigdy wcześniej go nie widziała.

Przez kilka lat wierzyłam, że to mój tata. Kiedy wyjechaliśmy z Utah, by na parę miesięcy zamieszkać w enklawie artystów na obrzeżach Tempe, bałam się, że mnie nie znajdzie.

Nigdy też tego nie zrobił. Kiedy skończyłam dziewięć lat, uznałam, zgodnie z prawdą, że była to jedynie dziecięca fantazja. Odsunęłam ją od siebie jak to wszystko, czego już nie potrzebowałam: stare zabawki, wieczorne rytuały, za małe ubranka. Żyliśmy z mamą jak włóczędzy, zatrzymywaliśmy się u przyjaciół, aż mieli nas dość, przysiadaliśmy w jakichś przypadkowych miejscach. A potem jechaliśmy dalej, by nie popadać w nostalgię. Nie miałyśmy też szans na stabilizację. Aż wreszcie skończyłam siedemnaście lat, a w Hazel Wood zmarła Althea.

Kiedy Ella, moja matka, dostała list, nagły dreszcz przebiegł przez jej ciało. To zdarzyło się, jeszcze zanim go otworzyła. List był w kremowozielonej kopercie z wydrukowanym jej imieniem i nazwiskiem oraz adresem miejsca, gdzie się wówczas zatrzymaliśmy. Przyjechaliśmy tam poprzedniego wieczoru i zastanawiałam się, jak to się stało, że ten list do nas dotarł.

Mama wyjęła kościany nóż do otwierania listów z szuflady obok, bo miałyśmy się zaopiekować domem ludzi, którzy trzymali na pokaz szczątki zamordowanych słoni. Drżącymi rękami niewprawnie rozcięła kopertę. Jej

paznokcie były tak czerwone, że wyglądało to tak, jakby się skaleczyła.

Kiedy wytrząsnęła list, na który padło światło, mogłam dostrzec widoczne od tyłu rzędy czarnych liter, ale nie potrafiłam ich odcyfrować.

Ella wydała nieznany mi odgłos, pełne bólu westchnienie, które sprawiło, że zaparło mi dech w piersi. Trzymała list tak blisko twarzy, że zabarwił skórę delikatną selerową zielenią, i poruszała ustami, czytając go raz za razem. Następnie zgmiotła go i wrzuciła do kosza.

Miałyśmy nie palić w tym zagraconym mieszkaniu w nowojorskiej Upper West Side, pachnącym francuskim mydłem i mokrymi miniaturowymi terierami. Jednak Ella wyjęła papierosa i zapaliła go zabytkową zapalniczką z kryształu. Wciągnęła dym, jakby to był mleczny shake, postukując palcami o ciężki zielony kamień, który miała na szyi.

– Moja matka nie żyje – powiedziała, wydychając dym, a potem zakaszłała.

Ból wybuchł we mnie niczym wewnętrzną miną, rozchodził się falami od żołądka. Ale od czasu, kiedy wyobrażałam sobie, jak może być u Althei, minęło już wiele lat. W ogóle nie powinnam nic czuć.

Ella przykucnęła przede mną i położyła dłonie na moich kolanach. Oczy jej lśniły, ale były suche.

– To nie... przepraszam cię, to nie jest taka zła wiadomość. Naprawdę. Może zmienić nasze życie, może... – Głos jej się załamał. Położyła głowę na moich kolanach i zaszlochała. Był to pojedynczy dźwięk z innego świata, tego ciemnych dróg i zapachów uschniętych liści, a nie z jasnego pokoju, położonego w środku głośnego, jasnego miasta.

Kiedy pocałowałam czubek jej głowy, poczułam zapach kawy z baru i papierosowego dymu. Wciągnęła powietrze, wypuściła je i uniosła głowę, by na mnie spojrzeć.

– Czy wiesz, co to dla nas znaczy?

Popatrzyłam na nią, a potem rozejrzałam się po pokoju – zagraconym, droгим i nie naszym.

– Zaraz. Czy to znaczy, że Hazel Wood należy do nas?

Widziałam posiadłość babki tylko na zdjęciach, ale miałam wrażenie, że znam ją z jakiegoś równoległego wyobrazonego dzieciństwa, kiedy to jeździłam konno i wyjeżdżałam na wakacyjne obozy. Były to marzenia, w których się zatapiałam, kiedy potrzebowałam wytchnienia od niekończącego się kręgu autostrad, nowych szkół i zapachu nieznajomych domów. Po prostu wklejałam siebie do tego odległego świata fontann i żywopłotów, koktajli i basenu, który lśnił tak mocno, że trzeba było mrużyć oczy.

Ale matka chwyciła mnie kościstą dłonią i zaczęła wyciągać z tego świata w technicolorze.

– Nie, nigdy. To znaczy, że jesteśmy wolne.

– Wolne od czego? – spytałam głupio, ale nie odpowiedziała.

Wstała, wrzuciła wypalonego do połowy papierosa do kosza wprost na list i wyszła wyprostowana z pokoju, jakby miała coś do zrobienia.

Kiedy wyszła, zaalałam zimną kawą kosz i wyciągnęłam z niego mokry list. Jego część była spopielona, ale wyglądałam na kolanach to, co zostało. Czcionka była pogrubiona i miał on dziwne spacje, jakby w staromodnym telegramie.

List nie wydawał się nowy. Nawet pachniał tak, jakby go wysłano z przeszłości. Mogłam sobie wyobrazić, jak

ktoś pisze go na elektrycznej maszynie IBM, jak na pocztówkach Françoise Sagan, które wieszałam nad łóżkiem tam, gdzie się zatrzymywałyśmy. Czytałam to, co zostało z tekstu, wdychając zapach jakiegoś perfumowanego talku. Było tego niewiele: „przesyłamy kondolencje” i „zapraszamy w najbliższym dogodnym”.

I jedno ocalone słowo w pożodze papieru: „Alice”. Moje imię. Nie mogłam przeczytać niczego przed ani po. Nie widziałam też dalszych wzmianek o sobie. Wrzuciłam więc zniszczony list do kosza.